Nr. 17. Warszawa, dnia 11 (23) Kwietnia 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90	w Austryi rocznie	9 guldenów
miesięcznie	„ 30	w Prusach	„ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u **Czapińskiego** (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza; *w Krakowie* w księgarni **A. Nowoleckiego.**

Numer pojedyńczy kop. 10.

PRACOWNIE NAUKOWE PRYWATNE.

Każdego niewątpliwie zastanowić musiało to zjawisko, że pomimo setek— naturalistów, matematyków i medyków, którzy ukończyli b. Szkołę Główną i Uniwersytet Warszawski, tak nisko jeszcze do dziś dnia stoją u nas nauki mające na celu badanie przyrody. Gdzieindziej wynalazki naukowe i przemysłowe mnożą się jak grzyby po deszczu, u nas jakoś nie bardzo słychać o jednych i drugich. Gdzieindziej rok rocznie pojawia się mnóstwo oryginalnych broszur a obok nich pewna liczba dzieł większych, których autorowie powołując się na osobiste badania, ogłaszają światu nowe zdobycze naukowe, stwierdzają lub zbijają opinije innych — u nas literatura naukowa składa się przeważnie z tłomaczeń i kompilacyj, a oryginalne poglądy, których niebrak, opierają się głównie na rozumowaniu, a bardzo rzadko na samodzielnych doświadczeniach. Gdzieindziej wychodzą w wielkiej liczbie egzemplarzy pisma specyjalnie poświęcone chemii, fizyce, technologii, i t. d., u nas specyjalnemi nazywają się: Przyroda i Przemysł, tudzież Gazeta Przemysłowo · Rzemieślnicza, pisma, które aczkolwiek są użyteczne, dalekiemi są jednak od specyjalności i niesłychanie mało zawierają artykułów oryginalnych.

Wiele jeszcze tego rodzaju porównań przytoczyćbyśmy mogli, a wszystkie wypadłyby na naszę niekorzyść, wszystkie uwydatniłyby tylko powyżej wypowiedzianą i doskonale znaną ogółowi prawdę, że poziom wiedzy przyrodniczéj stoi u nas bardzo nisko.

Cywilizacyja dzisiejsza przeważnie i bardzo przeważnie, że nie powiemy wyłącznie, opiera się na postępach nauk przyrodzonych, nie dziwmyż się więc, że skutkiem naszego zacofania pod tym względem, obcy albo nic o nas nie wiedzą, albo wiedzą trochę lecz na nasz współudział w ogólnej pracy nie rachują, albo co smutniejsza nazywają nas barbarzyńcami. Dopiero w ostatnich czasach obudził się u nas ruch umysłowy w przyrodoznawczym kierunku, ruch który trwa, potęguje się stopniowo, który może nam oddać niepospolite usługi, lecz który musi być nieustannie wspierany i podsycany.

Pod tym względem jesteśmy na dobrej drodze. Literatura rozsiewa między ogółem książki i broszury budzące ciekawość i zapał do nauk przyrodzonych, a Uniwersytet rok rocznie dostarcza społeczeństwu ludzi, bądź zdolnych do zaznajomienia nas z najświeższemi wynikami badań, bądź do podjęcia prac samodzielnych. Lecz czy to już wszystko? Nie, ponieważ brakuje nam wyższych i niższych szkół technicznych, ponieważ nie mamy i nie znamy tak pospolitych gdzieindziej prywatnych naukowych pracowni.

Kwestyja zakładów technicznych nie jednokrotnie poruszaną już była w prasie, ucichła jednak, choć nie wątpimy, że się znowu podniesie i zostanie stanowczo rozwiązaną. Na dziś więc zamilczymy o niej, i podniesiemy natomiast kwestyję pracowni.

Pod wyrazem *naukowe pracownie* rozumiemy gabinety fizyczne, chemiczne, anatomiczne, obserwatoryja i t. d. lecz co to znaczy? Objaśnimy niektóre z tych nazwisk.

W gabinetach fizycznych bada się tak zwane zjawiska fizyczne: ciężkość, sprężystość, ciśnienie powietrza, dźwięk, światło, ciepło i t. d. Poznaje się prawa tych zjawisk, przyczyny ich powstawania i warunki różnych zmian jakim ulegają.

W laboratoryjach chemicznych bada się wewnętrzne niejako własności najrozmaitszych materyjałów istniejących na ziemi, dochodzi się ich składu, sposobów otrzymywania, modyfikowania i niszczenia ich, a w reszcie przez kombinowanie znanych, otrzymuje się nieznane dotąd, a często bardzo użyteczne materyjały.

W gabinetach anatomicznych i fizyjologicznych bada się ciało zwierząt i roślin, budowę i funkcyje ich rozmaitych organów i tkanek.

W obserwatoryjach astronomicznych wre-

ŚLADY ŻYCIA.

XVII.

Tyle życia, ile.. w czynie.

Z prawdziwą przykrością notujemy fakt następujący P. L. Wrotnowski Patron broniący Piotra Wasilewskiego, zabójcy małżonków Gąsowskich, oświadczył przed kratkami sądu, że między innemi pobudkami, czytanie filozofów pozytywnych: Comte'a, Darwina, i *Müllera* (!sic) popchnęło obwinionego do... zbrodni! Doprawdy, słysząc coś podobnego, zapytujemy mimowoli, gdzie jesteśmy i od jak dawna obrońcy morderców, stali się oskarżycielami uczonych? W tym samym czasie kiedy cały świat ucywilizowany podziwia ogrom pracy i gienijusz Darwina, kiedy w Warszawie dwaj znakomici i zasłużeni mężowie publicznie oświadczają się za teoryją angielskiego mędrca; p. W. nazywa dzieła jego *pełnemi trucizny* i robi go wspólnikiem zbrodni! W którym że to rozdziale dzieł Comte'a lub Darwina, odnalazł p. Wrotnowski pochwałę lub zachętę do zbrodni i kto jest ów p. *Müller* zacytowany między przedstawicielami pozytywizmu? Na to, nigdy podobno p. W. odpowiedzieć nie potrafi. Niewątpliwie p. W. musiał coś okropnego posłyszeć o tych filozofach i tak ich potępił. Tak się jednakże nie robi *ze słuchu* i to co się krytykuje, znaćby należało, przynajmniéj.... ze spisu rozdziałów. P. W. jako obrońcy, służyło prawo rozmaitych używać argumentów dla uratowania swego klijenta, ale argumenty tak śmieszne mogą tylko zaszkodzić a nie pomódz sprawie. Jeżeli p. W. przypomina sobie historyję wieków średnich, to zapewne wie, że mordercy Clement, Rawaillak i t. p. zabijali nie na zasadzie poglądów Darwin'a lub Comte'a. Przed kilku laty kobieta jakaś, o czym pan W. słyszał także zapewne, zamordowała troje własnych dzieci, dlatego, „aby je od przyszłych grzechów uwolnić i po śmierci szczęśliwemi uczynić", czyżby więc p. W. i w tym wypadku posłużył się swoją dziwnéj oryginalności logiką i ośmielił się twierdzić, że niebezpiecznym jest nauczanie katechizmu?

Co do nas sądzimy, że *trucizną* dla społeczeństwa, nie są naukowe prawdy, ale raczéj tendencyjne kłamstwa o nich rozsiewane, i że p. W. najlepiéj zrobi jeżeli nie wdając się w nie swoje rzeczy, pozostawi specyjalistom ocenę i wyprowadzanie wniosków z dzieł Darwina, Comte'a i innych.

Dla porządku dodać musimy że obrońca strony przeciwnéj, Patron Skupjewski i Prokurator Królewski—Piątkowski, zaprotestowali przeciwko śmiesznemu i nielogicznemu parodoksowi p. W.

* * *

W ostatnich dwu poszytach Biblijoteki Warszawskiej w dziwnéj i rzadkiej skądinąd zgodzie, żyją obok siebie najzupełniéj sprzeczne i różne poglądy. Autor *Filozofii zasady bezwiednej*, pan Goldberg przedstawił szczegółowo głośny w Niemczech a nawet win-

szcie, bada się ciała niebieskie, ich ruchy, wielkość, skład chemiczny, temperaturę, zmiany jakie na nich zachodzą i t. p.

Wszystkie te przeróżne pracownie mają pewne bardzo ważne podobieństwo, o to: dokonywają się w nich prace, badania, doświadczenia samodzielne. W pracowniach tych książka i wykład odgrywają rolę drugorzędną, materyjały, narzędzia i praktyczne z niemi zajęcia rolę główną. Tu badacz bezpośrednio poznaje naturę, tu własnemi rękami niejako dotyka zjawisk, tu wreszcie rodzą się nowe odkrycia i wynalazki, owe dźwignie dobrobytu, chluba rozumu ludzkiego.

Lecz mimo to na cóż się przydadzą nowe pracownie? spytamy. Czyliż jeszcze tak wiele pozostaje do zbadania w naturze? czyliż wynalazków i odkryć nie należałoby, obcym zostawić, a samym zadawalniać się czasopismem lub książką?

Do zbadania natury ludziom bardzo jeszcze daleko; na wykończenie téj pracy wieki nie wystarczą. Każde nowe odkrycie i wynalazek, nowe przed umysłem otwiera widnokręgi, a te odkrycia i wynalazki, jeżeli kiedyś liczyły się na dziesiątki i setki, dziś liczą się na tysiące. Cyfra nowych wiadomości i nowych zagadek zależy od cyfry badaczy i środków, jakiemi rozporządzają—pracowni przeto naukowych nigdy nie będzie zbyt wiele.

Co do poprzestawania na materyjale książkowym, co do zarzutu, że wystarczy nam opis naukowej nowości powiedzmy, czego nauczyłby się ślusarz, stolarz, cieśla i t. d. gdyby nigdy nie brał do ręki pilnika i topora, lecz ograniczał się na samym czytaniu. Podobnież, fizyk, chemik i astronom nie wiele korzysta z książki, i co najwyżej, może nabyć wprawy w myślenie i mówienie, a tego nie dosyć.

Z drugiej znowu strony, my sami w życiu codziennym nie ograniczamy się na opisie nowej sztuki, obrazu, lub koncertu, — lecz idziemy je zobaczyć: wiadomość przez innych zakomunikowana, pobudza tylko i zaostrza, lecz nie zaspokaja naszej ciekawości. A jeżeli nadejdzie ten czas, że ogół nasz zaciekawiony opisem przedmiotów i zjawisk naturalnych, zechce je własnemi obejrzeć oczyma,—gdzie zaprowadzimy wówczas chciwych wiedzy, jeżeli nie będziemy mieć naukowych pracowni?

Nietylko jednak wzgląd na odległe potrzeby, na mającą się dopiero rozbudzić ciekawość, skłonić nas powinien do ufundowania podobnych instytucyj, albowiem o takowe wielkim głosem wołają potrzeby chwili obecnej.

Pracownie, znajdujące się przy uniwersytecie, z przeznaczenia swego nie mogą być dla ogółu dostępne: kto nie jest, lub kto przestał być studentem nie ma tam prawa wchodzić, a tymbardziej—pracować. Tymczasem, iluż to w Warszawie (nie sięgając dalej) znajduje się młodzieży, któraby z największą chęcią ofiarowała kilka rubli miesięcznie, byle tylko za tę, jak na ich fundusze wysoką cenę, można było robić samodzielne doświadczenia!

Nie twierdzimy, aby otworzenie pracowni naukowych, odrazu postawiło nas na równi z innemi, przygotowało wielkich wynalazców, z gruntu zreformowało rolnictwo i przemysł, bo do tego bardzo wielu innych potrzeba warunków. Twierdzimy tylko, na co się wszyscy zgodzą, że pracownie te, przyczynią się potężnie do rozszerzenia wiedzy przyrodniczej u nas i w bardzo korzystny sposób oddziałają na naszę naukową literaturę. Nie mamy nateraz zamiaru wdawać się w szczegóły urządzenia i obszerności podobnych pracowni, kwestyją tę bowiem w naszym piśmie opracują specyjaliści. Chcieliśmy tylko zwrócić uwagę ogółu na ważność podobnej instytucyi i przygotować w umysłach podstawę dla przyszłych projektów. Naturalną jest rzeczą, że ponieważ pracownie naukowe mają być zakładami prywatnemi, muszą więc być wzniesione i utrzymane kosztem osób prywatnych i dostępne dla ogółu. Zbytecznym również byłoby wspominać o konieczności założenia przy nich odpowiedniej biblijoteki i urządzania od czasu do czasu stosownych odczytów.

Jeżeli nas pamięć nie zawodzi, to *Wędrowiec* przed kilkoma miesiącami donosił o zamiarze założenia prywatnej astronomicznej postrzegalni; projekt więc nasz nie jest nowym, myśl ta tkwi już w społeczeństwie i powinna być dobrze przyjęta. Z drugiej strony wiadomo nam, że kilku młodych chemików, tudzież jeden z panów mechaników warszawskich, oświadczyli się z gotowością poparcia tej instytucyi, bądź przez ofiarowanie, bądź przez ułatwienie nabycia potrzebnych narzędzi. W końcu, istnieje również projekt otworzenia muzeum przemysłowego, z którym to zakładem byłoby może korzystnie połączyć zawiązek pracowni naukowych. Widzimy więc, że nie brakuje dobrych wróżb dla projektu, i że niedługo zapewne powinnyby już być zrobione pewne kroki do jego urzeczywistnienia.

Nie wątpimy, że czytelnicy nasi i prasa życzliwie przyjmą tę myśl i że znajdą się ludzie którzy ją wykonają. Pracownie naukowe drobnym zapewne z początku będą bodźcem dla ogólnego postępu, są jednak ważne i na czasie, otworzenia ich bowiem wymaga zarówno stan naszej literatury, jak i położenie młodych naturalistów.

Co zaś do tych ostatnich, ci ludzie pełni zapału i nieprzepartej chęci do pracy — ludzie których najżywszemi pochwałami obsypywała Zwierzchność Uniwersytecka, między któremi nie brak umysłów głębokich i oryginalnych, a którzy dziś prawie że marnieją w mimowolnej bezczynności, ci ludzie nie zawiodą nadziei ogółu. Dajmy im pracownie, dostarczmy im środków do badań samodzielnych, a niezawodnie dobrze zarekomendują nas wobec ucywilizowanego świata.

CISZA.

Hej życia, hej ognia, bo duszno nam tak,
I wszystkie się drogi krzyżują nam wspak,
I myśl nam odbiegła daleko do nieba,
A jej tu na ziemi, na ziemi potrzeba.

Patrzajcie—tam orzeł, król ptaków i skał,
Opuścił swe skrzydła, jak gdyby w dzień spał.
Hej orle do lotu! tam słońce twe świeci!
Królowi bo duszno, znużony nie wzleci.

Znużony? wszak dawno nie puszczał się w lot,
Nie wicher mu szumiał, nie śpiewał mu grzmot;
Dlaczegóż król ptaków mandrówki nie waży?
Oh! duszno mu w świecie, o niebie król marzy.

Przeklęte marzenia tak ciężą jak głaz,
Że śmiały latawiec spoczywa jak płaz,
I szpony zatępił trzymając się drzewa,
I już się nie ocknie aż grom mu zaśpiewa.

* * *

---

nych krajach system filozoficzny *Edwara Hartmanna*. Krytykę swoję opiera na zasadach filozofii *idealno realnej*. Przypiski redakcyi *zaprzeczają* jej brak słuszności w *najważniejszych punktach*. Obok niego p. Cypryjan Walewski pomieścił ciekawe studyjum o *Marcinie Kromerze*. Pomijając zarzuty jakie z punktu naszego zapatrywania się uczynićbyśmy mogli — zaznaczamy że praca to wyczerpująca i przypominająca lepsze czasy naukowych historycznych badań. W dziale „Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne" p. S. w rozbiorze odczytów Huxleya w przekładzie prof. Wrześniowskiego, stanowiących jak wiadomo część Biblijoteki pozytywnéj, okazuje się zdeterminowanym zwolennikiem Darwinowskiej teoryi, co wcale nie przeszkadza bezstronnej Redakcyi zaraz obok umieszczać sprawozdania o dziele D-ra Marcina Pena p. t. Fizyjologia duszy i instynktu—i naturalnie wychwalać go przez usta p. T. K.

Doprawdy trudno się zgodzić na taką różnostronność kierunków w Redakcyi Biblijoteki Warszawskiej. Co do nas nie pisalibyśmy o tym, boć to nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz się przytrafia, gdyby Biblijoteka nie była u nas poważanym organem naukowym, od którego wymaga się koniecznie jakiejś myśli przewodniej.

Kronika Zagraniczna swoim zwyczajem mówi o rzeczach dawno już wszystkim wiadomych, posiłkując się obszernemi cytatami z dzieł autorów o których pisze. Jest to rzecz arcy wygodna.

Niestety minęły niepowrotnie te czasy, gdy kronikę zagraniczną, kreśliło świetne pióro Węgierskiej! *Nec locus ubi Troja fuit.*

Sprawiedliwość atoli wyznać nakazuje, że znajdują się w tych zeszytach artykuły, zasługujące na nasze zupełne uznanie. Tak np. w sprawie o narodowość Kopernika pan A. P. dzielnie walczy w obronie polskości wielkiego astronoma, a jakkolwiek nie jest to rzecz wyczerpująco napisana, przecież parę nowych danych zwycięzko popierają polską narodowość Kopernika. Rzeczto ciekawa, ważna i na czasie.

Niezmordowany Kraszewski rozpoczął w Biblijotece nową powieść historyczną p. t. Hrabina Kosel, która oile sądzić można będzie prawdziwą ozdobą tego pisma.

Dalej podnosimy obszerną i sumienną pracę *Dominika Bonarskiego* p. n. *Rys statystyczny przemysłu Królestwa polskiego* i monografiją historyczną: *Ordynacyja Ostroska*, przez p. S. K. napisaną. Pierwszy mianowicie artykuł jest nadzwyczaj ważny i do poważnych studyjów zachęca. „W dziedzinie techniki, powiada autor, na polu rozległym pracy wytwórczej wszyscy zapewne, radośnie powitamy powiewający *sztandar wiedzy pozytywnej*".

* * *

W numerze 276. Tygod. Illust. znajdujemy „Pogadanki o rzeczach artystycznych i literackich." Artykuł ten zwrócił naszę uwagę, tak pod względem swej treści jak formy. Wyznajemy, że dawno już nie czytaliśmy podobnej rzeczy w łamach Tygodnika. Autor udatnie kreśląc znamiona naszego, francuskiego i niemieckiego dowcipu, zastanawia się następnie nad charakterem humorystyki u nas obecnie praktykowanej. Bez kwestyi ciasne ona ma kółko, szczupłe ramy.... zawodzi nieskończony taniec derwiszów... ale jakaż rada na to, cóż potrafi wązkie szranki rozszerzyć? To tłumaczy w części humorystów, to w wielu razach, usprawiedliwiać ich może. Owo „gonienie za pozorem dowcipu, kontrast, osobistość, przesada, nieprzyzwoitość... i kłamstwa w obec rzeczywistości"... są bronią, wybieraną w braku lepszych. Nie możemy potępiać bezwzględnie, naszych humorystów, nieraz bowiem i u nich po za fajerwerkiem może sztucznego i wymuszonego dowcipu, błyska łza, rysuje się twarz cementarna, wykrzywiana boleścią, jak twarz sko-

Tam nawa na morzu spoczywa śród fal,
Choć żagle przy maszcie, nie może iść w dal,
I sternik oparty—oczyma powodzi,
Czy słońce czerwono na wiatry zachodzi?

Nie! patrzcie w różowy rozpłyło się świt,
I księżyc powolnie wypływa na szczyt,
A sternik przeklina i niebo i zorze,
Do lądu chce płynąć, przez ciszę nie może.

On błaga o wiatry, te milczą, te śpią.—
Dłoń chwyta za wiosła, za słabo te prą,
I wiater leniwy gdy próżno spoczywa,
To sternik z rozpaczy pioruny wyzywa.

* * *

Tu rolnik swe ziarno porzuca śród skib,
I pełen nadziei już czeka na chléb,
Ziarenko już zeszło, już kwiat się uśmiecha,
Lecz w skwarze bez deszczów więdnieje, usycha!

A rolnik wieczorem patrząjąc się stał,
Czy słońce nie zajdzie na deszcze za wał?
Lecz słońce pogodnie przygasać zaczyna,
A rolnik i niebo i słońce przeklina.

I wyszedł na pole, zniszczenia tu kraj,
Zeschnięte źdźbła sterczą, gdzie cudny kwitł maj
Zapłakał boleśnie, żal serce porywa,
A rolnik nie deszczu, lecz burzę wyzywa.

K. Ujejski.

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

— Wyobraź sobie Pani! wczoraj idąc tu, byłem odprowadzony przez podobną tej figurę, aż do drzwi. Z powrotem zastałem na wschodach jakiegoś chłopaka, z bardzo złowróżbną fizognomiją, który śledził mnie długo. Dziś — wchodzę w bramę — ktoś za mnę biegnie — oglądam się — wyraźnie jakiś majsterek! Sądząc że ma do mnie interes — staję i czekam. Mój *quidam* staje także — i patrzy. Ruszam więc na wschody, a on za mną! Moje podziwienie doprawdy nie ma granic!

— To moi błędni rycerze —gotowi w każdej chwili walczyć w mej obronie!

— Ale któż to jest? Kimże Pani jesteś?...

— To są pracowici wyrobnicy, których poznałam szukając nędzy i nieszczęścia po suterynach i poddaszach. Podałam im bratnią rękę i serdeczne słowo zachęty i rady—a oni pamiętają wdzięcznie te drobne przysługi—i stanowią najpilniejszą straż i opiekę nademną, niekiedy bardzo pożądaną!

— Na co tu bajek z Tysiąca i jednej nocy, lub mrzonek ideologów! — rzekł ironicznie hrabia.

Beata znów się uśmiechnęła — i zasiadła do pracy.

— Powiedz mi Pani! Sama uboga, co im Pani, tej niesfornej a głodnej hałastrze, dać możesz?

— Mały zasiłek pieniężny — pomoc w umieszczeniu, lub w znalezieniu pracy, zdrową radę, promyk światła — nieco książek.

— Ah! Pani jesteś missyjonarką dla maluczkich i niewiernych?..

— Chrystus naukę swą krzewił najprzód wśród prostaczków i ubogich! I nie dawał im bogactw, bo sam był urodzony w ubóstwie — lecz ich wzbogacił słowem świętéj prawdy i mądrości!

— Pani idzie tym śladem?

— Pragnę naśladować godnie swego Mistrza!

— A gdybyś Pani miała majątek?

— Dawałabym im więcej — mając więcej sama.

— Więc Pani zupełnie zaprzecza prawa własności?

— Nie — ale wyznaję prawo litości i miłości bliźniego.

— Pani—Pani masz bardzo idealne przekonania — zanadto nie po ludzku widzisz Pani rzeczy.

— Przeciwnie! czy może być więcej ludzka zasada, na oczywistszej prawdzie oparta, jak: „Nie rób tego bliźniemu twemu co niechcesz aby tobie robiono — a kochaj go jak siebie samego".

— Niepodobna się oprzeć sile argumentacyi Pani! bronisz się wybornie!

— Mówię jak czuję! — odparła z uśmiechem anielskiej prostoty.

— I zawsze tak Pani postępuje?

— Zawsze!

— Nigdy Pani nie powiesz coś, co ukrywa myśl jej?

— Nigdy nie kłamię! —rzekła poważnie. Hrabia Władysław poprawił się na krześle. Robota postępowała; ale rozmowa znów przycichła — i nie wznowiła się, aż na drugi dzień o tej samej godzinie.

— Niech Pani zgadnie, o czym teraz ciągle myślę? zapytał Władysław zaraz po przywitaniu.

— Nie odgadnę — i nawet probować nie będę!

— I dla czego?

— Zanadto krótko znam Pana, abym mogła zgadywać jego myśli.

— A ja Panią przecież znam doskonale!

— Zadanie bardzo łatwe. Niechcący wypowiedziałam moje przekonania — a zawsze mówię prawdę.

— I potępia Pani kłamstwo w jakiejbądź formie? tak np. myślałem sobie czy to podobna aby człowiek nie kłamał! Czy to dla okazania się innym niż jest, czy przez obawę światowej obmowy—musi kłamać!

— Wtedy sam sobie ubliża — jeśli przybiera świetniejszą maskę — widać że wydał sam o sobie hańbiący wyrok niższości brudnej. Jeśli się wstydzi czynów swoich—jakże się nie wstydził je wypełnić....

— Ah! Pani jesteś surowsza od spowiednika! — Przestań! Możesz Pani powiedzieć za wiele — zranić kogoś za mocno! — zawołał hrabia wzburzony.

— Nie sądziłam, aby teoryja moja ogólna, mogła kogoś urazić. Chętnie zakończę tę kwestyją niestosowną rzeczywiście do pogadanki podczas godzin rzeźbienia! Zbyt to ważny przedmiot.

— W ustach Pani każdy przedmiot nabiera jakiejś wagi niepojętych rozmiarów! Jesteś Pani stworzoną na missyjonarkę!

— Byłoby-to bardzo zaszczytne dla mnie! powiedziała Beata łagodnie.

— To Pani nigdy nie myśli zmienić trybu życia?

— Pojęć — nigdy!

— Ah! zobaczymy! —odezwał się szorstko —lecz widząc na siebie zwrócone oczy Beaty z podziwem — zaczął natychmiast opowiadać coś o Francyi i podróżach.

Czwartego i piątego posiedzenia był stanowczo milczącym. Popiersie było coraz wyraźniejsze i bardzo podobne. Beata oznajmiła, że bez jego obecności może wykończyć szczegóły — a termin zgłoszenia się po odbiór naznaczyła za dwa tygodnie.

Żegnając ją, hrabia Władysław długo stał zadumany—wreszcie kiwnął głową—niewia-

---

czka... który błaznuje bo musi. Byron, Musset i Heine kochali ludzkość chociaż z niej drwili, choć ją pozdrawiali szyderstwem, czyż w gronie ich naśladowców, byłaby tylko niewiara i pogarda dla rzeczy pięknych wielkich i wzniosłych?.. Tak orzekać stanowczo nie trzeba.. Śmiech jest obosiecznym orężem, dowcip potężną siłą, ale należy umiejętnie używać tej broni.... mieć cel jasno wytknięty, nie przekraczać granic zakreślonych przyzwoitością i.... sumieniem.

Uznajemy całą prawdę podobnych przekonań, szanujemy wspólnie z autorem w mowie będącego artykułu, osobistość cudzą, imie cudze. Tak jest.... trzeba skoro się rożki osobistego interesu zanadto wysuną, przytrzeć takowe, stanąć na drodze i zapytać zapamiętałość „kto jesteś? nie pójdziesz dalej!.."

Dużo by się dało o naszej polemice dziennikarskiej powiedzieć. Fatalna struna zawiści, jak zgrzyt żelaza po szkle, nieraz odezwie się w tej chwili, kiedy interes wspólny, dążność wspólna, nie takich żądają dźwięków. Nieraz wzgardliwą obojętnością, pyszałkowatą dumą, lub stentorowym głosem rzekomej powagi, witamy najszlachetniejszą chęć, najzacniejszy głos podniesiony w sprawie ogółu... i drwić umiemy, ale zapomnieliśmy kochać i wspierać współbraci... współpracowników.

W pijanej walce drzemy się o wielki wawrzyn zasługi... o poklask gminu, o wianek z poziomego chwastu.... upleciony ręką głupców! Smutne to zaiste tryjumfy, liche wawrzyny! Nasze powagi milczą... nie wiemy gdzie są, co robią... gdzie ich szukać... i zapominamy o nich.

Dylletantyzm przybrany w uczoną togę, lub kurtkę jarmarcznego zawadyjaki, pozuje po swojemu na wiedzę głęboką, zapał niekłamany, poświęcenie... wyrozumiałość, sąd trzeźwy i tak dalej.. Staje on jako przedstawiciel społeczeństwa lub jego cząstki, chwyta w dłonie godła święte lub chorągiew postępu, a ręce jego tych znaków piastować nie godne. Gorzkie to prawdy ciężkie winy... ale „na tej łez dolinie i to przeminie" jak powiada JulijuszSłowacki.

* * *

Współzawodnictwo jest zasadą wszelkiego postępu; monopol, wyrazem zastoju. Znana ta prawda znajduje swe zastosowanie we wszystkich kombinacyjach stosunków społecznych, we wszystkich regijonach i kierunkach życia, a więc, i w naszym peryjodyczno-piśmienniczym ruchu.

Z prawdziwą też przyjemnością światlejsza drużyna czytelników i literatów warszawskich powitała z pierwszym brzaskiem bieżącego roku, nowy już *z zadania swego* do *współzawodnictwa* z nami występujący, tygodnik p.t. „Ognisko domowe." Niewolno nam, jako *interesowanym*, zastanawiać się nad tym, czy pismo to ma *prawo bytu*, t. j., czy istnienie jego wywołane zostało parciem odpowiednich, umysłowo-społecznych potrzeb. Faktem wszakże jest, że *powstało* i dotąd *istnieje*. Dalecy od brudnej, a szkodliwej dla wszelkiego organizmu zawiści, pragniemy, *nietylko żyć, ale i dokoła siebie czuć życie*, nie samotnie wegietować i schnąć, lecz *walczyć*, i do spełnienia przyjętych w programie zadań *podążać*.

Nic łatwiejszego, jak przemawiać *pro domo sua*, nic trudniejszego, jak *głośno* do własnych przyznać się błędów. Współzawodnictwo zatym i wzajemna krytyka, wyświetlając ujemne i dodatnie strony objawów naszego życia, pomaga tym samym znakomicie do *poznania samych siebie*, i namaszczenie *przyszłości* udziela.

W imię tej prawdy przyjmujemy *od innych* zdrowe wskazówki i rady, *w imię tej prawdy*, wytykamy *innym* postrzeżone przez nas błędy. W obec także najbliższego towarzysza

domo, czy jej jako ukłonem, czy sobie na znak potwierdzenia jakiejś myśli—i tegoż dnia zapowiedział znajomym jutrzejszy powrót do domu.

— Interes w sądzie idzie oporem—za dwa tygodnie będzie wyrok, to powrócę a teraz trzeba jechać do żony! — mówił panom i paniom na pożegnalnych wizytach. Idąc powiedział sobie z niechęcią:

— No! i mogłemże nie kłamać znowu? W domu zastał wszystko jednakowo jak przed odjazdem. Elodyja bledziuchna; tęskna, marząca — przez cały czas prawie nie wychodziła ze swego pokoju, jak to zaświadczył zręcznie badany Michel.

Emanuel uważał to za bardzo stosowne, że hrabina Elodyja, po niejednokrotnej dziwnej treści rozmowie — w nieobecności męża nie pokazywała mu się wcale.

Codziennie tylko przysyłała po książki — i raz na wschodach ujrzał ją przelotnie.

Hrabia powrócił w bardzo fantastycznym usposobieniu. Zły i zgryźliwy, lub wesoły do zbytku, zadziwiał wszystkich przyzwyczajonych do jego dosyć jednostajnej elegancyi.

Zaraz pierwszego wieczoru kazał prosić Emanuela.

— Doprawdy! można się do wszystkiego przyzwyczaić!— powiedział do żony. Przez te cztery miesiące, oswoiłem się z tym ubogim książątkiem — i mimo jego dziwacznych zasad lubię go bardzo!

Grzecznie i wesoło przywitał Emanuela. Zaczęto mówić o Warszawie—o teatrze i innych widowiskach. Hrabina Elodyja jak swego pierwszego wieczoru ich poznania, podparła główkę rączkami i całą mocą swych szafirowych oczu wpatrywała się w Emanuela. Mało mówiła, ale gra rozmaitych uczuć, mieniła wciąż jej twarz raz bladą, to znów purpurowym oblaną rumieńcem. Nikt nie spostrzegł tego, bo siedziała nieco w cieniu—nikt by nakoniec nie mógł odgadnąć, co się dzieje w tej duszy na wpół dopiero przebudzonej i rozwiniętej. Hrabia Władysław przekonawszy się o jej miłości dla córki—przestał śledzić jej słów i ruchów— i jak się to często dzieje w świecie, mimo głębokiej znajomości kobiet i serc ludzkich — zupełnie mylne wyrobił sobie pojęcie o własnej żonie.

— Czy pan nie zechciałby zagrać?.. odezwała się cicho proszącym głosem.

Emanuel uczynił zadość jej żądaniu—grał długo — jak zawsze z uczuciem i odcieniem rzewnej malancholii. Spostrzegłszy na fortepijanie nuty do śpiewu, zapytał Elodyi zasłuchanej jeszcze w ostatnie dźwięki, czy śpiewa?

— Trochę!—odparła nieśmiało.

— Ma słaby, maleńki głos skowronka — i nawet pan Ciaffei nie mógł nic z niego zrobić — powiedział hrabia. Ale mimo to, dla ożywienia jesiennego wieczoru, możesz zaśpiewać! Prosimy Djolu!

— Wybierz pan cokolwiek z tych nut—powiedziała Elodyja cicho prawie.

— Dziś masz nawet ogromną chrypkę! — zauważył hrabia, zapalając cygaro.

Jakby na przekór tym słowom —zabrzmiał śpiew — słaby — ale srebrnego dźwięku — dyjamentowej czystości—miękki, giętki—płynący cadowną kaskadą z wątłej piersi śpiewaczki. Wszystko co nie wypowiedziała w słowach, co nie spłakała łzami — wmieściło się w śpiew, podobny delikatnością łagodną tonów do pieśni skowronka, jak to trafnie choć w innym rozumieniu określił hrabia.

— Wcale nieźle! odezwał się pierwszy uderzając z lekka w ręce — Brawo.

— Prześlicznie! szepnął Emanuel.

Elodyi oczy trysnęły blaskiem szczęścia.

— Ah! Pan tak cudownie akompanijuje! Zdawało mi się, że fortepijan śpiewa drugim głosem, i lekko mi było śpiewać z nim razem!— zawołała żywo — z dawną swobodą dziecięcą.

— W każdym razie — dosyć tego na dziś! rzekł Władysław, ziewając nieznacznie.

— Porozrzucałem pani nuty! powiedział książe—biblijotekarz, który stał ciągle jeszcze przy fortepijanie, i machinalnie nuty oglądał.

— Nic nie szkodzi?... zostaw je pan tak!

— Michel je jaknajskrupulatniej ułoży! dodał hrabia.

— Nie!—wymówiła stanowczo.

— Co?! — odwrócił się Władysław zdziwiony.

— Niech pan zagra którego z mazurków Szopena!.. uwielbiam je!.. prosiła tymczasem Djola.

Hrabia wyszedł z salonu — ona mówiła dalej. *(d. c. n.)*

ADAM MICKIEWICZ

w towarzystwie rosyjskich Literatów.

I.

Mało nam znany okres pięcioletniego pobytu Mickiewicza w Moskwie i w Petersburgu nader wybitne ślady pozostawił w peryjodycznej prasie rosyjskiej, a szczególniej w *Telegrafie Moskiewskim*, (1825—1834 r.), którego redaktorem był autor *Historyi narodu ruskiego* i wielu innych około 70-ciu tomów różnej treści dzieł, znakomity Mikołaj Polewoj.

Któżby z nas niebył ciekawym dowiedzieć się o naszym wieszczu, jak on te pięć lat spędził pośród ludzi, których języka nie znał [1]) i którym własna jego mowa obcą zupełnie była? Ciekawość ta zwiększa się jeszcze tymbardziej, gdy się dowiadujem, że pomimo tego lingwistycznego rozbratu, co jeno w obu stolicach Rosyi wyższą odznaczało się inteligencyją, wszystko on ku sobie bratnim przyciągał uczuciem. Fakt dziwny, chociaż naturalny, że gienijusz natchniony z łatwością uprząta wszelkie na drodze swojej zawady. Jakżeby mógł bez udziału w życiu społecznym zostawać i niebyć pożądanym, kochanym ten, co tak jak autor *Dziadów*, sercem do serca przemawiać umiał? Urok tej mowy musiał być potężny, czarodziejski, kiedy napotykane tu i owdzie w rosyjskich czasopismach, pośmiertne nawet wspomnienia o Mickiewiczu obfitują w takie słowa, okresy i zdania, jakie tylko osobliwsza, magnetyczna ku niemu sympatyja podyktować mogła. Oto, co czytamy w jednym z pism peryjodycznych pod datą 1858 r. (*Żywopisnaja Ruskaja Biblijoteka. N. 10.* Artykuł *K. Polewoja:)*

„Pomnę—było to w r. 1825 —kiedy przybył do Moskwy stary znajomy mego brata Mikołaja, oddawna zamieszkały w Polsce pułkownik P., on pierwszy powiedział mu o Mickiewiczu, o którym my dotychczas nic niesłyszeli, powiedział, że jestto poeta wielki, gienijusz nadzwyczajny, najświetniejsza ozdoba li-

[1]) Szczgół ten jest dosyć wątpliwym; wiadomo bowiem skądinąd, że Mickiewicz, dyplomem jaki mu po ukończeniu kursów Uniwersytet Wileński udzielił — uznany został za uzdolnionego do właściwych wykładów w trzech językach: polskim *rosyjskim* i francuskim. *Przyp. Red.*

---

i przeciwnika, jakim jest z natury założenia swego młodsze od nas pismo „Ognisko domowe," *bezwładnie* zachowywać się nam niegodzi, tymbardziej, że trwający ciągle wątpliwy pisma tego kierunek i *szczególnie słabe* oznaki życia, z biernego nas wyprowadzają stanowiska.

Czytając cierpliwie w „Ognisku domowym" pierwsze cztery rozdziały wstępnego artykułu p. t. „Wychowanie i nauczanie," pocieszaliśmy się nadzieją, że autor *wybłądzi* kiedyś z bezdroża mdłych ogólników na jaśniejszą drogę, że wypłacając się z wyrażonej w nagłówku obietnicy, określi nam przecię nieco jaśniej przedmiot i cel swojej gawędy. Ostatni rozdział w N-rze 14 smutnie nas rozczarował. Znajdujemy tam wytarte komunały, pozwalające myśleć, że autor *w stanie wątpliwej samowiedzy* zaczyna dopiero zgłoskować *tajemnicze* wyrazy tytułu: *wychowanie* i *nauczanie... Koroną* bowiem, *filozoficzną* ostatecznym wypadkiem rozwlekłej i kolistej gry słowa jest w tym artykule, bodaj czy nie wszystkim znane, pobieżne określenie różnicy, jaka między wychowaniem a nauczaniem zachodzi. Określenie to, o ile byłoby potrzebnym na wstępie, o tyle stanowiąc zakończenie, jest jaskrawym wyrazem niezręczności pisarskiej, wymownym świadectwem opłakanego ubóstwa myśli. W ostatnich ustępach *rozprawy* (!) słyszymy jeszcze wprawdzie przebąkiwanie o „warunkach danego czasu," „*wywalczeniu przyszłości obywatelstwa,*" lecz te ciemne i niezwiązane ścisłością logiczną z poprzednim ciągiem, zdania—świecą nagotą *niestrawionej* naukowej *wyroczni.* Fejletonista „Ogniska" łzawi się w tymże numerze nierymowaną w bajronistycznym duchu *skargą na losy*, opowiada ckliwy pseudopoemat *o szczęściu i nieszczęściu ludzkim.* Do tego *arcy-chwalebnego* kroku, mającego chyba na celu ponowne zaszczepienie choroby marzycielstwa w znękanym już przez nią społecznym organizmie, pobudził tkliwego półpoetę widok człowieka, który nieostrożnie obok nieujeżdżonego, a zbrojnego ostrogą konia przechodził... Pokój marzeniom i marzycielom!

W N-rze 15 „Ogniska" znajdujemy znów artykuł wstępny, p. t. „Nasze ołtarze." Z artykułu tego dowiadujemy się *poraz pierwszy*, że „*jedynym nieograniczonym powiernikiem domu jest (u nas) faktor pachciarz* (!)." Głęboko zaiste musi być ukrytą *choroba ta społeczna;* nikt bowiem o niej, prócz redakcyi „Ogniska," nie wie. Faktor wiejski jest sługą i pokornym wyzyskiwaczem, niekiedy imponującym bankrutowi lichwiarzem; nigdy jednak niebywa, jak naiwnie utrzymuje „Ognisko" „*duszą domu,*" nigdy „*jego zdanie o żonie, córce, mężu, niepoczytuje się za prawdziwe i nieulegające powątpiewaniu.*" Artykuł p. t. „Nasze ołtarze," gdyby nie był wydrukowany, mógłby być wzięty za *ćwiczenie drugoklasisty*, poprawione przez niedbałego pedagoga; ogłoszony publiczności za pośrednictwem druku, jest istnym nad jej opiniją urągowiskiem. Jedynym artykułem, który w 15 N-rze „Ogniska" z niejaką korzyścią przeczytać można, jest artykuł Wernica z zakresu pedagogiki.

* * *

Nr. 8 „Kroniki rodzinnej" niczym się nie różni od swych poprzednich. Zdrowe ziarno wiedzy wszędzie tu się miesza z *nadmierną* dozą, cechującego to pismo, dogmatyzmu. Gdyby nie *to*, wiele pomieszczanych w „Kronice" artykułów, mimo, że są przeważnie kompilacyjami, nabrałoby w naszych oczach niepospolitego znaczenia. Jedynie wolnym od obcych, z zakresu teologii, nalecialości jest tu pobieżny artykuł D-ra Strasburgera „O stosunku naszym do świata zwierzęcego." Zupełnym brakiem przewodniej myśli odznacza się gawęda: „Nieco o sztuce u nas," zdradzająca (pomimo zasłużenie oddawanej

teratury polskiej, a dodawszy do tego, że Mickiewicz znajduje się Moskwie i że jest jego przyjacielem, zaprosił nas do siebie na wieczór, na którym miał być i polski poeta. Jakkolwiek sąd szanownego pułkownika o rzeczach tyczących się literatury nie był dla nas żadną powagą, ton wszakże uroczysty, jakim mówił i wiara jego w to, co mówił, były tak effektowne, że wzbudził w nas najżywszą chętkę poznania tego sławnego poety. Czyniąc przeto zadość wezwaniu pułkownika, jesteśmy z bratem u niego na tym wieczorze. Gospodarz, zajęty już grą u zielonego stołu, powstawszy, aby nas poznajomić kilką słowy z Mickiewiczem i jego przyjacielem p. Malewskim (obecnie Radcą tajnym:) powrócił znowu do swojej wistowej kompanii. Naturalnie nam, jako nienależącym do gry karcianej, wypadło zająć się rozmową, ale rozmowa jakoś nieklejła się, brakło jej cementu duchowego, brakło wzajemnej świadomości; Mickiewicz nieznał rosyjskiego języka, my nieznaliśmy języka polskiego, a to co się mówiło po francusku, odnosiło się więcej do wszystkiego w ogóle, niż do literatury. Przytym Mickiewicz był posępny, mówił mało, jakby z przymusu; daleko przyjemniejsze na nas wrażenie zrobił jego towarzysz. Wróciliśmy z tego wieczoru prawie do poziewania tylko usposobieni i od tego czasu przeszło już było kilka miesięcy, kiedy oto na wiosnę r. 1826 zjawia się, przybyły także z Polski, serdeczny przyjaciel mego brata, młody wówczas oficer gieneralnego sztabu J. Poznański; przywiózł on z sobą kilka poetycznych utworów tłumaczonych z Mickiewicza i przy pierwszym widzeniu się z moim bratem mocno się zdziwił że on prawie niezna tak sławnego poety polskiego, który tutajże, w Moskwie stale rezyduje. Entuzyjazm, z jakim Poznański mówił o Mickiewiczu i poezyje jego, chociaż w nieudolnym tylko tłumaczeniu, sprawiły, że brat mój udał się natychmiast z wizytą do Mickiewicza, zaprosił go do siebie i odtąd, po kilku odwiedzinach, stał się on w naszym domu jakby należącym do naszej familii. On prawie z nikim niezabierał znajomości w Moskwie, żył samotnie, odwiedzany tylko przez swoich współziomków, i dusza jego sympatyczna widocznie uradowaną była tym szczérym, pełnym bratniej życzliwości przyjęciem, jakie znalazła w rodzinie ruskiej, w gronie ludzi światłych i literatów. Wtedy codziennym prawie gościem w naszym domu był poeta Boratyński, człowiek tak poważny w swych pismach, a tak miły i niewyczerpanej słodyczy w poufnej pogadance; w ścisłym także związku z bratem moim był Kniaź Wiaziemski, stały współpracownik *Telegrafu Moskiewskiego*.

Niewymieniam wielu innych, wyznać atoli muszę, że kto tylko u nas poznał z bliska Mickiewicza, każdy go pokochał, a pokochał nie jako poetę (niewielu bowiem było w możności czytać jego poezyje:) ale jako człowieka niepospolitych zalet duchowych, co pociągał ku sobie wzniosłością poglądów, olbrzymią wszechstronnością wiedzy i osobliwszą jakąś, jemu tylko właściwą, dobrodusznością. Miał był wtedy nie więcej jak lat trzydzieści. Powierzchowność jego, pełna powabów, była prześliczną. Przepyszne pierścienie czarnych włosów pokrywały jego cudnie modelowaną głowę, ocieniając zlekka to otwarte, nieustanną zadumą napiętnowane czoło, z pod którego czarne wyraziste oczy brylantowym migały światłem; nos kształtny, a dosyć długi, znamionował niepospolitą siłę jego przenikliwości; i z tym wszystkim, przy całej prostocie w postawie i każdym poruszeniu na jego twarzy ożywionej dziewiczym rumieńcem często się zjawia uśmiech, uśmiech nieporównanej z niczym słodyczy, jaki na obliczu tylko idealnej dobroci widzieć się zdarza. Takim był zwykle Mickiewicz w normalnym, niezmąconym stanie ducha swego, lecz gdy wypadło, że zagajona rozprawa mocno go zainteresowała, gdy zwłaszcza uczucie jakiej prawdy, czy wzniosłej idei, ryczałtem z piersi jego wydrzeć się chciało, wtedy fizyjognomija jego inny zupełnie przybierała wyraz i stawał się wtedy prawdziwym czarodziejem, porywając swoich słuchaczy urokiem świetnej, pełnej podmiotowego piękna improwizacyi, pomimo tego, że w towarzystwie naszym, złożonym z samych rosyjanów, mówił zwykle po francusku.

Dowodem nadzwyczajnych jego zdolności jest ta łatwość, z jaką przyswajał sobie obce języki. Wszystkim wiadomo, jak wysoko postąpił w znajomości języka francuzkiego, w którym, jako profesor, w samym nawet Paryżu słynął; również po mistrzowsku władał on i niemieckim językiem; a co do łacińskiego i greckiego, że je posiadał gruntownie, świadczy o tym były jego współuczeń, znakomity filolog Jeżowski. Mówiłem, że Mickiewicz przyjechawszy do Moskwy nie znał wcale rosyjskiego języka, otóż zaledwie upłynął rok, a już mówić zaczął po rosyjsku i mówił gładko, dokładnie, niezbijając się na akcentach w prozodyi, która jest tak różną od polskiéj, a więc dla polaka do ujęcia niełatwą. Prócz tego, posiadał też języki: angielski, włoski, hiszpański, a podobno i wschodnie nie były mu obce. Prawdziwie zadziwiającym był ogrom nabytych przez niego wiadomości. Zdaje się, że nie było w żadnéj literaturze arcydzieła, któregoby nie znał w oryginale. Jeżeli ktoś w rozmowie wymienił jakiego poetę, czy pisarza sławnego, on zaraz dowodził, że go zna doskonale, cytując z niego strofy i nawet całe stronice. Pamiętam, jak podczas jednéj uczty literackiéj zadziwił wszystkich cytując po grecku różne ustępy z Ilijady, co większa, że gdy jeden z biesiadników, który wiek swój spędził na studyjowaniu Homera (zapewne *Gniedycz*), zacytował z niego jakikolwiek wiersz, Mickiewicz zaraz deklamował następne wiersze, jak gdyby umiał na pamięć całą Ilijadę. Inną razą wprawił on w zdumienie jednego z najgorliwszych wielbicieli Jana Pawła Rychtera, który studyjował tego poetę niemieckiego, łykając po kropelce wszystkie jego abstrakta—i usiłując rozjaśnić sobie tak często w dziełach jego napotykane dziwolągi. Mickiewicz zaczął dowodzić, że ta eleuzyńska zagadkowość, czy egipskich Magów manijera jest właśnie wadą, słabą stroną Rychtera i że u wielkich pisarzy nie znajduje się niczego, coby nie było jasnym, łatwym do zrozumienia; a kiedy ten amator *quand même* chciał mu dać poznać, że zapewne *nie mozolił się* bardzo nad zgłębieniem wielkiego gienjuszu niemieckiego, Mickiewicz w dorywczym swoim poglądzie, wskazawszy treściwość lepszych romansów Jana Pawła, zaczął wytykać w nich jedno po drugim mnóstwo absurdów i dowiódł kapitalnie, że to, co mówił o Rychterze, było wynikiem gruntownéj jego znajomości. Zdolność oddawania swych myśli i wrażeń w żywym słowie i *ex promptu* posiadał Mickiewicz w nader wysokim stopniu. Słyszałem od jego przyjaciół, że nieraz w chwilach natchnienia improwizował w ojczystym swoim języku i najpiękniejszemi wierszami całe poematy. Razu jednego uprosiliśmy go, aby nas uczęstował improwizacy-

---

czci naszym malarzom) jaskrawą nieznajomość teoryi i historyi sztuki.

* * *

Czytamy w „Izraelicie“:

Panna Teresa H. nadesłała nam list, w którym wyraża ubolewanie, że rzemieślnicy żydowscy nie uczęszczają na popularne odczyty, zarówno z chrześcijańskimi. Są to chwalebne, poczciwe desideryja. Lecz, szanowna pani, są wadliwości i braki, zbyt blisko nas leżące, abyśmy mieli żale nasze i ubolewania ku odległym niedostatkom zwracać. Naszym rzemieślnikom dużo brak jeszcze, a głównie brak im należytego zrozumienia mowy, *w któréj* odczyty się odbywają, brak im, co najgorsza, poczucia potrzeby oświecenia się—a mamyż zawodzić że na odczytach nie bywają! Dla nich potrzeba przedewszystkim szkół, w których by mogli nabyć mowę przyzwoitą, pierwiastki ukształcenia, dające przedsmak oświaty i poczucie potrzeby jéj przyswojenia sobie. Postawmy ich najprzód na nogi, a potym sięgać będą sami po owoce, jakie drzewo wiedzy nosi.

Tak pisze Izraelita i ma zupełną słuszność.— Jedną tylko dorzucimy od siebie uwagę.— Skoro nie ma szkół o jakich wspomina Izraelita — w prywatnych szkółkach elementarnych, których jest sporo — należałoby przedewszystkim wyuczać dzieci *tego* języka.— Obowiazek to święty i grzechem puszczać go w odwłokę.

* * *

Czytamy w Kuryjerze Warszawskim, że Matejko, przyjął ofiarowaną mu posadę dyrektora akademii malarskiej w Pradze Czeskiej. Talent polskiego mistrza, oceniają ziemie słowiańskie... Na wystawie powszechnej w Wiedniu urzadzają Niemcy wystawę osobną z obrazów jego. Kto wie czyby Matejko nie postąpił logicznie, dodając do nazwiska swego wyraz „polonus“ bo za pareset lat, Germanija może zechce obchodzić u siebie rocznicę jego urodzin?!

Djabeł nie śpi—a z niemcami ostrożność nie zawadzi.

* * *

Nowe pisma wyrastają ciągle jak grzyby po deszczu. Mamy już codzienne, tygodniowe, dwutygodniowe, miesięczne, a ma nam przybyć jeszcze pono jedno i to aż dwa razy na dzień wychodzące. Ma to być jak Gazeta Polska wzmiankuje „*pisemko brukowe*“ jak więc my domyślamy się znowu, ma to być nowy zamach na *ogłoszenia kupieckie*. Nie myślimy zrażać przedsiębierców w projekcie dopiero będącego wydawnictwa, ale należałoby się pierwej namyśléć im nad tym dobrze, bo w obec dwu Kuryjerów, Gazety Anonsowej, i tablic anonsowych p. Kaufmana, strasznie to podobno trudno wyjść będzie na swoje. Przemysłowcy gdyby im tak wszędzie ogłaszać się przyszło, niewieleby może nieraz, zarobili więcej jak na pokrycie.... kosztów ogłoszenia.

* * *

Zasłużony pracownik na polu medycyny, profesor Dr. Wiktor Szokalski, w sędziwych latach doczekał się należytego uznania. Dzieło jego pod tytułem: „*Wykład chorób przyrządu wzrokowego u człowieka*“ obecnie przekładają na język niemiecki i ruski. Pierwszy zeszyt ruskiego tłomaczenia dokonany przez studentów moskiewskiego uniwersytetu pod przewodnictwem prof. Wojnowa, w tych dniach opuścił prasę. Gdyby nie premijum Krakowskie ks. Jerzego Lubomirskiego, były prof. Szokalski wydając polski oryginał w 1869 roku, prócz mozolnej pracy, poniósł niemałą stratę, ciężko zapracowanego grosza. Nie myślimy tutaj sypać kadzideł, ale oddajemy co przynależy... Prof. Szokalski nie zmarnował sił swoich, wypłacił się naukowej

ją na temat zadany w języku francuskim. Było to dla niego daleko trudniéj—ten język bowiem nie był jego rodzinnym. Otóż, wezwawszy jednego z obecnych artystów, aby zagrał na fortepijanie jaką powolną minorową melodyję, usiadł, zakrył na chwilę ręką oczy i po kilku taktach rzewnego *adagia* usłyszeliśmy cudnie piękną improwizacyją, pełną najświetniejszych barw poezyi, chociaż nie ujętą w formę poetyczną. Zaiste obdarzył go Pan Bóg cudowną mocą do oddawania swych myśli w czarodziejskim słowie. Nie dziwimy się więc, że wkrótce potym zasłynął we Francyi z wymowy, jako profesor wszechsłowiańskiéj literatury. Od wejścia w domowe nasze towarzystwo liczba znajomych jego w Moskwie coraz bardziéj się zwiększała. Puszkin, skoro tylko przybył do Moskwy w jesieni 1826 r., zaraz go, przy pierwszym widzeniu się, należycie ocenił i największe mu okazywał uszanowanie. Ciekawą dla nas było rzeczą widzieć ich razem. Nawykły do przodowania w kole literatów, przezorny poeta rosyjski był nadzwyczajnie skromnym w przytomności Mickiewicza; widocznie starał się tylko pobudzać go do mówienia, sam zaś gdy się odezwał z jakim zdaniem, to zwracał się ku niemu, aby uzyskać mistrzowską jego affirmatywę. W rzeczy samej Puszkin, ani ukształceniem, ani wielostronną uczonością nie mógł równać się z Mickiewiczem, i własne a szczere przyznanie się do tego naszego poety stanowi nie małą jego zaletę. Jak wysoko cenił on poetyczny gienjusz Mickiewicza, można zauważyć z tego, co mi powiedział w roku 1829, kiedy już i Mickiewicz i Puszkin mieszkali w Petersburgu. Przyjechałem tam w interesie na kilka dni, i stanąłem w hotelu Demuta, gdzie zwyczajnie przemieszkiwał Puszkin. Pragnąc odwiedzić Mickiewicza zapytałem Puszkina o jego kwaterę. Dość było wymienić nazwisko tego człowieka, aby umysł jego wpadł na ton najszczytniejszéj apologii; długo się unosił, rozważając doznane w obcowaniu z nim wrażenia, wreszcie powiedział: „Niedawno Żukowski klepiąc mię po ramieniu mówił: a czy wiesz bratku, że Mickiewicz może ciebie za swój pas zatknąć? Źle mówisz, odpowiedziałem mu, mówisz w czasie niedokonanym o tym, co się już najuroczyściéj dokonało, popraw się, bo już on mię zatknął, a zatknął tak, że przy nim jestem jakby mię nie było." Inną razą w téj saméj kwaterze byłem świadkiem, jak Puszkin objaśniał Mickiewiczowi plan swojéj jeszcze wtedy nie wydanéj *Połtawy* (pierwotnie ten poemat miał tytuł: „*Mazepa*") i jak ogniście, rozwijając swoję ideję poetyczną, usiłował okazać, że zbadał gruntownie charakter bohatera swego poematu. Mickiewicz wysłuchawszy go zrobił tylko kilka uwag, ale takich, które światłem swoim zniweczyły całkiem psychologiczny pogląd naszego poety." (*d. c. n.*)

SŁÓWKO

o przesądach w medycynie.

Pojęcie ogólne organizmu—Choroba i zdrowie

przez Doktora

Gustawa Dolińskiego.

(Dalszy ciąg).

Drobne włosowate naczynia popękały od silnego napięcia, stąd krew w plwocinie, ilość włóknika we krwi powiększona, stąd i wysięk płucny lepki, kleisty ciągnący się. Tkanka płucna nasiąknięta, zgęszczona, przestrzenie dawniej powietrzem wypełnione obecnie płynem lepkim zajęte—stąd owa tępość odgłosu przy opukiwaniu, stąd rzężenia, oddech oskrzelowy. Nareszcie ogólna reakcyja organizmu wyrażająca się gorączką przyspieszonym tętnem i tak dalej.

Mógłbym postawić setkę podobnych obrazów — lecz poprzestanę na tym udając się w inną stronę. Czymże jest choroba? Oto zakłóceniem prawidłowych czynności, zwichnięciem spraw odżywiania, krążenia, zaburzeniami w ustroju nerwowym. Obraz jej — to wytwór naszej myśli to uporządkowanie i zebranie w jedną całość pojedynczych zjawisk—jakie dany osobnik przedstawia. Organizm jak to już rzekłem jest całością, jest maszyneryją, jest małym światkiem. Skoro jego pojedyncze cząstki podpadają zmianom w budowie — skoro organ jaki zaczyna funkcyjonować nieprawidłowo, toć i cały systemat, cały ruch jego zakłócać się musi. Ale wszystkie sprawy chorobne nie są czymś obcym, czymś nieznanym, niepojętym. One są sprawami fizyjologicznemi, tylko w nienormalnych odbywającemi się warunkach. Serce np. bije, kurczy się—rozsyła krew. Jeżeli w skutek cierpienia zwanego *zapaleniem wsierdzia*, zostanie zniszczoną jedna z jego zastawek, już cyrkulacyja odbywa się nie tak jak powinna. Odbywa się w warunkach nienormalnych, brakuje zastawki a być ona powinna koniecznie. Cóż robi serce? Oto zastosowuje się do tych anormalnych warunków. Jego ścianki przerastają — jego włókna muskularne grubieją—aby tym sposobem z większą siłą wyrzucać falę krwi aby zrównoważyć zawady w systemacie krążenia. Jeżeli taka naturalna kompensata nie udaje się, wnet mamy skutki, przepełniają się żyły — zwalnia bieg krwi—przychodzi do przesiąkania płynnych jej części przez ściany naczyń. Stąd puchlina kończyn dolnych, zaburzenia w trawieniu, obrzęknięcie wątroby, katary przewlekłe płuc.... jednym słowem cały organizm psuć się poczyna. Czyż to nie proste fizyczne następstwo — tak być musi—zegar któremu wyłamał się trybek, obluzowały kółka i sprężyna już źle pokazuje godziny. Takie złe warunki napotykają się tak w świecie zewnętrznym jak i w organizmie samym. Kto ma za wąską podstawę czaszki będzie kretynem —kto się urodził z wodną puchliną mózgu, idyjotą — kto ze skrzywionym kręgosłupem —garbatym. Są także głuchoniemi, niewidomi—od urodzenia i t. d. Ktośby pomyślał że choroby umysłowe, że cierpienia psychiczne, rozwijają się ot tak w jednej chwili. Cierpienia żołądka i wątroby, często wywołują hipochondryję, melancholiją, zgryźliwość —złośliwe usposobienie. Choroby organów płciowych—histeryją — prawdziwy bicz pięknej połowy rodzaju ludzkiego. Spazmy, mdłości, śmiech serdeczny—drgawki, namiętne porywy, połykanie igieł, szpilek a nawet skakanie z pierwszego piętra i innego rodzaju samobójstwa są następstwem fatalnego rozstroju nerwowego. Nieświadomi poczytują to za kaprys — grymasy, białogłowskie sztuczki. Komedyjki takie mają miejsce czasami—a leczą się nową suknią, wyjazdem zagranicę—roletką—jednak po większej części — nieprawidłowy stan umysłu tłumaczy się umiejscowionym lub ogólnym cierpieniem. Wielu osobników pląsa po świecie, co Bogiem a prawdą, kwalifikują się do zakładu obłąkanych. Gdyby jaki biegły psychiatra zaczął ich obserwować dokładnie, wnetby braku piątej klepki dopatrzył. Szersze koło

---

niwie ojczystej, pisał z dawien dawna, po polsku, francusku i niemiecku. Przemawiał popularnym słowem do szerszego koła czytelników—jego „Fantazyjne objawy zmysłowe" czytali wszyscy.

Jestto jeden z najwykształceńszych lekarzy w kraju naszym, biegły specyjalista, utalentowany pisarz. Mowa pradziadów pod jego piórem krystalizuje się w te nadobne formy jakich dzisiaj nie napotyka się tak często. Praca wytrwała, wysokie zdolności, zacność charakteru, nieskazitelność zasad, cechują tego starca, któremu synowską cześć oddajemy.

Szkoda, że inni... nie wstępują w jego ślady!

* * *

Ciche, spokojne i jak „u Pana Boga za piecem" siedzące dotąd „*Suwałki*" rozruszały się nareszcie. Oto okólnikiem podpisanym przez pp. B. Grabowskiego, R. Grabowskiego, Brzozowskiego i Lineburga zostaliśmy zawiadomieni, że zamieszkali w tym mieście i okolicy amatorowie pszczolnictwa, zamierzają od czasu do czasu zbierać się na narady co do rozwoju tej tak kiedyś ważnej a dziś zaniedbanej zupełnie gałęzi krajowego bogactwa. Pierwsza taka narada, czyli jak ją w okólniku nazwano, pierwsza taka *gawędka*, odbędzie się w d. 8 Maja r. b. w dobrach Motule o 3 mile drogi od Suwałk położonych. Jako przedmiot narady, okólnik podaje 15 punktów, pomiędzy którémi zaznaczono także, podanie najłatwiejszych sposobów, prawidłowej hodowli pszczół, zachęty do obeznania się z ich naturą, budową ulów i kształcenia na pszczolarzy. Amatorowie Suwalscy proszą wszystkich lubowników pszczolarstwa o poparcie i pomoc, a przedewszystkim o nadsyłanie uwag swoich nad kwestyjami, mającemi podpaść pod obrady, pod adresem p. Baltazara Grabowskiego w Suwałkach. Notując fakt ten z prawdziwą przyjemnością, mamy nadzieję, że pogawędki Suwalskie dobre dla naszego pszczolnictwa wydadzą z czasem owoce.

* * *

A teraz nowy jeszcze i znowu również sympatyczny objaw rozbudzającego się Suwalskiego życia.

Z korespondencyi pisanej do nas z Suwałk, powiada „Niwa" w N-rze 32, dowiadujemy się iż „w Suwałkach powzięto projekt taniego wydawnictwa dzieł i książek przeznaczonych dla ludzi średniego wykształcenia. Na początek inicyjatorowie przedsięwzięcia zamierzają przyswoić naszej literaturze całkowity 3-ch letni kurs, wydawany przez Sorbonę i towarzystwo sztuk i nauk w Paryżu pod tytułem: „*L'écho de la Sorbonne.*"

Wydawnictwo będzie nadzwyczaj tanie, arkusz albowiem druku w formacie wielkiej ósemki ma kosztować 6 groszy, a z drzeworytami groszy 8.

O cenie i warunkach wydawnictwa objaśni bliżej prospekt, z którym czytelników też naszych postaramy się poznajomić.

* * *

Kiedy hulać to hulać—otjeszcze fakt jeden. Dramat Edmunda Chojeckiego (Charles Edmond) p. t. L'Aieule, przedstawiony dziesięć lat temu w paryskim teatrze Ambigu, wznowionym został w Odeonie obecnie i niesłychanego doznał powodzenia. Dowcipnie wyraził się krytyk Sarcey o tej sztuce mówiąc: Trzeba przyznać, że gdyby ją napisał pan Dumas, toby się p. Dumas zdobył nareszcie na nieśmiertelność.

P. Chojecki, mówiąc nawiasem, autor jednej z najlepszych tendencyjnych naszych powieści, nie poprzestaje na wawrzynach zdobytych na niwie dziennikarskiej. Snać nie od proporcyi nasi bracia noszą głowę na karku.

* * *

widzów, daje im przydomek „narwanych". Słyszałem na wykładzie chorób umysłowych jako pewien urzędnik dość często odbywał wędrówkę z biura do domu w stanie zupełnie bezprzytomnym. Siadał do stołu i dopiero zapytany przez żonę—budził się jakby ze snu. Symptomy obłąkania są rozmaite i często bardzo dziwaczne. Charakterystycznym jest że izraelici najczęściej wyrzekają jako ich ktoś oszukał—że stracili majątek w przedsiebiorstwie. Znam jednego co prawił że należy do bezwzględnie szlachetniejszej rasy—choć postawą silnie przypominał murzyna. Patrzył w lusterko powtarzając „ja jestem Mojżesz —szlachetny rabin". Ktoby temu zaprzeczył —otrzymałby grad rzęsistych epitetów. Choroby umysłowe zazwyczaj długo się przysposabiają za nim wystąpią wyraźnie. Pamiętam jednego ze znajomych, co nawet kiedyś razem ze mną był w jednej klasie. Zrywał się on w nocy czasami, klękał i mówił pacierz. Dziś „manija religiosa" nawiedziła biedaka. Przed rokiem zobaczywszy jego nazwisko na karcie w hotelu – wstąpiłem. Leżał na sofie—czarno ubrany, obok niego cztery świece — książka do nabożeństwa w ręku — śpiewał godzinki. Skoro wszedłem powitał mię skinieniem głowy i wskazał w górę. Rozpocząłem rozmowę—pamięć miał zupełnie dobrą—najdrobniejsze zachował szczegóły z przeszłości. —Przyszło mi do głowy poruszyć pewną ulubioną myśl jego dawniejszą. Marzył o tym – aby mieszkać w oddalonym miejscu, pośród ogrodu — w cichym domku.

— Wystawiłeś sobie domek, o jakim wspomniałeś w szkołach jeszcze... zapytałem.

— A jakże!—Jest tam krucyfiks i klęcznik —jest piec — retorty chemiczne – szafka z odczynnikami —kamaszki-lakierowane. W szkołach już założył laboratoryjum na strychu, i nosił zawsze lakierki - fakt zajmujący! W szpitalu Ś-go Jana Bożego w Warszawie, można się przypatrzyć różnym formom obłąkania. Tak np. pewien duchowny wydaje ciągle rozporządzenia skazujące za herezyją na stos, plagi cielesne, również manifesta i przepisy gastronomiczne. „Ja taki to a taki żądam, aby zarząd szpitalny przysłał mi codziennie: Rano czekoladę z biszkoptami lub kawę mleczną i dobrze osłodzoną. Na drugie śniadanie wódka słodka pomarańczówka, bułeczki, świeże masło — wędzonki. W piątek sardynki lub śledzie pocztowe—konfitury"... Słowem znakomity regulamin ku pociesze żołądka dobrodzieja. Bolesne to choć czasami śmieszne wydarzenia—fatalny stan rozstroju umysłowego, w skutek zmian patologicznych tkanki mózgowej. One z razu nieznaczne, postępują coraz dalej—doprowadzając do zupełnego ogłupienia. Dawniej exorcyzmowano epileptyków, pławiono w stawach lub palono na stosie czarownice, przebijano poświęcanym osikowym kółkiem czarodziejów. Odkąd świat jest tyle łaskaw, że medycynę medykom pozostawił—zgasły stosy—i nikt obłąkanych topić nie myśli. Polewa im głowę zimną wodą — lecz w chęci uleczenia — zamyka w celkach, nakłada nawet kaftany - - aby drugim nie czynili szkody, ale nie topi lub smaży na wolnym ogniu.

Prócz tego lekarz psychiatra wiedząc aż nadto dobrze jako ma do czynienia z cierpieniem ustroju nerwowego, używa środków na organizm na ciało wpływających, bo duszy ani grzbietu jodyną posmarować, ani na głowę wody, ani prądu elektrycznego na jaką część odpowiednią nie zastosuje. Dusza cierpi — dusza działa nieprawidłowo, bo mózg cierpi—a mózg jest organem duszy — dusza władzą mózgu. Pomimo tego władza owa jest potęgą, ona w działaniu swoim promieni niby meteor jasny przebiegający ciemną przestrzeń nocy. — Pojęcia o sobie nikt inny nie tworzył tylko człowiek. „Errare humanum est" człowiek błądził, błądzi i błądzić będzie — nie idzie jednak za tym aby mając pewne dowody pod ręką, wzywał do pomocy djabłów, demonów, aby kazał Archeuszowi w żołądku warzyć pokarmy—a Lucyperowi w głowie wyprawiać hece. Zmieniają się zdania i sądy. Cóż my temu winni że trawę nazywamy zieloną, a liliją białą—kiedy tak jest w istocie.

Czyż nowotwór w tkance mózgowej—czyż zgrubienie ścian serca, przekrwienie płuc, obrzęk śledziony, żółtaczkę i tym podobne mamy pojmować według średniowiecznych teoryi? Czyż jako anatom Wezal mamy drżyć biorąc nożyk anatomiczny do ręki. Czyż jako Rivière z Montpellier powtórzymy że odkrycie krążenia krwi jest tylko ciekawym faktem, ale na nic medycynie nie przydatnym. Już się takie chwile nie wrócą. Profesor Virchow, którego prace stanowią epokę w postępie medycyny — a imie znane wszystkim badaczom—śmiało orzeka—że dzisiaj już medycyna pewnym krokiem naprzód postępować będzie — bo się trzyma metody pozytywnej—bada, doświadcza, szuka dowodów nie w hipotezach i przypuszcze niach, lecz w organizmie, lecz w naturze. *(d. n.)*

ZABAWKI DZIECINNE,

i ich znaczenie wychowawcze.

W poprzednich gawędach naszych, staraliśmy się wykazać ważność wykształcenia władzy spostrzegawczéj w dzieciach, tu więc dodamy jeszcze: że od stopnia tego wykształcenia zależy cały przyszły rozwój dziecka tak rozumowy jak i uczuciowy.

Nie należycie dotąd oceniono wpływ zabawek na wyjaśnienie i ugruntowanie spostrzeżeń, jakie dziecię czyni w otaczającym go świecie.

Wejdźmy do izby dziecinnéj. Oto Jaś całemi godzinami bawi się na drewnianym koniku. Zdaje się że zapomniał o wszystkim, przejęty czynnościami, jakie konikowi swemu każe wykonywać. Rży, parska jak on, powstrzymuje cugle, bo konik chce wziąć na kieł, prowadzi go do stajni, bo konik chce jeść i pić, a pozwoliwszy mu wypocząć, znów w dalszą puszcza się z nim drogę. Jedzie do wuja, po drodze zatrzymuje się, to z bicza trzaska, to słowem zachęca konika do raźnego biegu i w chwili zabawy zupełnie jest przekonanym że wszystko to co sobie wystawia, rzeczywiście istnieje, jak również że sam wszystkie wspomnione czynności odbywa.

Tam Józia karci swoję lalkę za niegrzeczność jakiej się dopuściła. Za karę kładzie ją do łóżeczka, lecz lalka płacze, grymasi. Józia lituje się nad nią, wyjmuje ją z łóżeczka, i otrzymawszy przyrzeczenie poprawy, ubiera jak najpiękniej by pojść na przechadzkę, jednym słowem, powtarza z nią wszystko to czego sama doświadczyła na sobie.

Tak jest, dzieci bawiąc się, naśladują tylko czynności osób dorosłych.

Jaś zauważył dokładnie ruchy konia, pojął jego zachowanie się, pojął sposób jego życia, i wszystko to każe powtarzać swemu drewnianemu rumakowi. Nie każe on mu ani wyć ani szczekać, ani miauczéć, bo wie że nie jest ani pieskiem ani kotkiem. Nie nazwie mięsem

---

Z prospektu dołączonego do Nr. 32 dwutygodnika „Niwa" dowiadujemy się że staraniem i nakładem téj Redakcyi wyjdą w przekładzie polskim dzieła *Karola Darwina*:

1) O pochodzeniu gatunków drogą naturalnego doboru, czyli o utrzymywaniu doskonalszych odmian istot organicznych w walce o byt.

2) O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt.

Początkowo powiada prospekt zamiarem było Redakcyi wydanie kompletne dzieł Darwina, że jednak toż samo wydawnictwo przedsięwzięła „Biblijoteka umiejętności przyrodniczych" w Krakowie, przeto po porozumieniu się z Redakcyją tejże „Biblijoteki", przystępujemy do wydania dwu wspomnianych dzieł. Dzieło zaś: „O pochodzeniu człowieka" wyda w tym jeszcze roku „Biblijoteka Umiejętności Przyrodniczych". *Dzieła Karola Darwina*. 1) O pochodzeniu gatunków drogą naturalnego doboru i t. d. oraz 2) O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt; wychodzić będą *jednocześnie* zeszytami. Każdy zeszyt składający się z 5-ciu arkuszy druku wielkiéj ósemki, zawierać będzie arkusze jednego i drugiego dzieła. Pierwszy zeszyt ukaże się dnia 1-go Maja r. b., a następne zeszyty wychodzić będą w terminach 3 do 4 tygodniowych.

Prenumeratorowie **Niwy** otrzymują oba powyższe dzieła. W Warszawie: za rs. 5. W Królestwie i Cesarstwie: (z przesyłką pocztową) za Rs. 6. Nieprenumerujący **Niwy**: w Warszawie za Rs. 7 kop. 50.

Przy zapisaniu się prenumeratorowie warszawscy wnoszą rs. 1 i przy odbiorze czterech pierwszych zeszytów po rs. 1 a dalsze zeszyty otrzymają bezpłatnie. Prenumeratorowie z prowincyi dla uproszczenia korespondencyj zechcą nadesłać albo całą należność albo w dwu ratach: 3 rs. przy zamówieniu. a 3 rs. pszy odbieraniu 3-go zeszytu.

Nieprenumeratorowie **Niwy** w Warszawie wnoszą przy zamówieniu rs. 2, przy odbiorze 2 zeszytu rs. 2 przy odbiorze 3 zeszytu rs. 1 k. 50 a przy 4 i 5 zeszycie po rs. 1. Następne zeszyty wydadzą się bezpłatnie. Pragnący otrzymać pocztą dzieła *Darwina* mogą również nadesłać albo całą należność, albo w dwu ratach: przy zamówieniu rs. 4 kop. 50, a przy odbiorze 3-go zeszytu rs. 4. Po wyjściu wszystkich zeszytów, cena obu dzieł podwyższoną zostanie.

Prenumeratę przyjmuje Redakcyja **Niwy** (Nowy-Świat Nr. 41 w Warszawie), oraz wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.

* * *

Członek Redakcyj naszego pisma Doktór *Gustaw Doliński*, przekłada na język polski dzieło znanego francuskiego fizyjologa Claude-Bernarda „*De la physiologie générale*".

* * *

Czytelnikom naszym wiadomo że b Redaktor Opiekuna Domowego, poeta p. *Bogumil Aspis*, w dniu 22 Marca (3 Kwietnia) r. b. w Sali Resursy Obywatelskiéj odczytał tragedyją liryczną własnego utworu p. t. „Sulamita".

Krytyka w ogóle o treści poematu odezwała się bardzo życzliwie, ubolewając tylko nad oddaniem zewnętrznéj jego formy. Winą to było głosu który niedopisał zupełnie.

Otoż P. Aspis postanowił raz jeszcze z utworem swoim zaznajomić publiczność— a chcąc by i wypowiedzenie poszło w parze z udatną treścią — uprosił znanego artystę dramatycznego P. Jana Chęcińskiego—który też dnia $^{12}/_{24}$ b. m. we Czwartek o godzinie 8-méj wieczorem, odczyta „Sulamitę" w sali Resursy Obywatelskiéj.

Biletów po kop. 30 a dla studentów i młodzieży szkolnéj po kop. 15 — dostać można we wszystkich znaczniejszych księgarniach oraz w redakcyi naszéj a także w Redakcyjach „Niwy" (Nowy-Swiat Nr. 41)—Przeglądu Tygodniowego (Czysta Nr. 2) i obu Kuryjerów.

kawałka papieru, który dla konia ma przedstawiać siano, bo wie że koń podobną strawą się nie karmi.

Zabawki, jako wyobrażenia przedmiotów znanych, nie dostarczają właściwie dziecku nowego materyjału do spostrzeżeń, lecz gruntują, utrwalają, wyjaśniają dawne, wprowadzają je w nowy ruch, w nowe stosunki i kombinacyje, jednym słowem dozwalają mu nad swemi dawnemi wyobrażeniami panować i jednoczyć je w nowe grupy, a więc dozwalają swobodnego lotu jego fantazyi.

Dziecię potrzebuje dłuższego czasu do poznania przedmiotu niż dorosły człowiek, i prędzéj wrażenie uczynione przez ten przedmiot w jego myśli się zaciera. Zatym, to co dla dorosłéj osoby jest dokładnie znanym, dla dziecka nie straciło bynajmniej uroku nowości. Dziecię z tą samą radością spogląda na zabawkę któréj przez tydzień niewidziało, jak i na nową dopiero co sobie ofiarowaną. Dziecię bawiące się ołowianemi żołnierzami stawia je rzędem, tworzy z nich kolumny, dowódcę i dobosza stawia na przedzie. Inaczéj postępuje chłopczyk bawiący się trzodą owiec, ten ich nie ustawi w rzędzie, lecz bezładnie iść im dozwoli, bacząc na to, żeby psy znajdowały się po bokach a pasterz na końcu, bo tak widział w rzeczywistości. Nie będziemy się zastanawiali nad zabawami *i grami* towarzyskiemi, które bardziej kształcą charakter dziecka, wpływając na jego uczucie, uczynimy tylko uwagę, że najgorszemi dla dzieci są gry zyskowne, jak np. loteryjka, dzwonek i młotek i t. d., gdyż przyzwyczajają do bezmyślności, wyrabiają chciwość; niewłaściwemi zaś tak nazwane gry cierpliwości (jeu de patience) które niby na pół są zabawą, a wytężają całą uwagę dziecka, i kończą zniechęceniem go ku niej. Dziecię powinno znać różnicę między pracą a zabawą, przy pierwszéj fantazyja jego powinna być trzymaną na wodzy, i każda rzecz rozpoczęta powinna być wykończoną.

Również dziecko powinno wiedzieć że trud i usilność są nierozłącznemi warunkami każdéj pracy, bo inaczej pomiesza te dwie czynności ze sobą, zabawa będzie dla niego pracą a praca zabawą, którą będzie mu wolno porzucić jak mu się tylko naprzykrzy.

Chłopczyk pięcioletni koloryzujący figurkę niech jej nie rzuca przed ukończeniem, a dziewczynka podobnego wieku robiąc fartuszek dla lalki, niech wie że to już praca i że ukłucie się w palec nie uwalnia od wykończenia takowéj.

Wypada nam się zastanowić jeszcze, dla czego nie wszystkie dzieci bawić się umieją. Wina tu głównie cięży na tych co obdarzają dziecko zbyt licznemi i kosztownemi zabawkami. Dowiedzioną jest rzeczą że im dziecię mniej ma zabawek, tym lepiej bawić się niemi potrafi, nadmiar sprowadza przesyt i nudę. Dla tego to dzieci zamożnych rodziców powszechnie gorzej się bawią i mniej się cieszą z zabawek sobie ofiarowanych, niż dzieci uboższe. Nie sama bowiem rzecz sprawia dziecku radość, lecz swobodny ruch wyobrażeń jaki ona za sobą pociąga. Im mniej sztucznym cacko, tym większy zostawia polot fantazyi. Lalka kosztowna, zupełnie naśladująca osobę żyjącą, nie pozwala na taki ruch myśli, jak drewienko obwinięte kawałkiem szmaty a mające wyobrażać lalkę. Dzieci już same dają najlepszą pod tym względem wskazówkę, gdyż nie jednokrotnie możemy zobaczyć dziewczynkę pieszczącą się ze starą potłuczoną lalką, któréj daje pierwszeństwo nad nową i strojną świeżo otrzymaną. Kosztowna lalka jest za piękną, za sztuczną dla dziecka jest jakby za zbyt dostojną figurą, z którą dziecię w bliższą nie śmie wejść zażyłość, gdy tymczasem stara, potłuczona laleczka, jest jego poufałą znajomą, z którą nie jedną już chwilę przebyło.

Niektórzy twierdzą, że i w dziecku już, smak kształcić należy, i usprawiedliwić chcą w ten sposób użyteczność kosztownych i misternych zabawek. Twierdzenie takie nie zasługuje na uwagę, albowiem dzieci spostrzegają tylko ogół przedmiotu, a nie wchodząc w jego szczegóły, nie zwracają uwagi na całość estetyczną ogółu. Przedmiot sztucznie wykończony, nie pozwala na rozbudzenie fantazyi, na żaden ruch myśli, lub ruch wyobrażeń, krępuje tylko umysł, i zachęca do popsucia. To też taki jest po większéj części los kosztownych zabawek, dzieciom ofiarowanych. Dajmy chłopczykowi do wyboru ładny rysunek, którego wszakże dotknąć mu nie będzie wolno, ani nożyczkami, ani pędzelkiem, i dajmy mu zwyczajną malaturę dla dzieci, z którą może uczynić co zechce; z pewnością każde dziecię wybierze tę ostatnią, bo będzie ją mogło pokryć kolorem jaki mu się podoba, będzie mogło wyrżnąć ją nożyczkami, bo, jednym słowem, będzie jej zupełnym panem, i na niej doświadczy swéj czynności, tak w malowaniu jak i w wyrzynaniu.

Zabawki dziecinne nie tylko więc w ruch wprowadzają spostrzeżenia przez dzieci uczynione, ale jeszcze kształcą ich siłę czynnéj twórczości.

Pozostaje nam zastanowić się, nad zachowaniem się starszych, przy zabawach dziecięcych. *(Dal. ciąg nast.)*



Mównictwo polskie z zastosowaniami dla użytku młodzieży, przez Piotra Skrzypińskiego.

Na czele przedmowy umieszczona dewiza: „feci quod potui....” jest wymownym wykładnikiem zacnej autora dążności, która i bez tego, w usilnym rozjaśnianiu szczegółów i sumiennym zbieraniu gramatycznych wyjątków w całym układzie książki aż nadto widnieje. Ulubione to jednak szanownego pedagoga wyznanie ([1]) ma tylko dla nas wagę *moralną*, i nie rozgrzesza go bynajmniej jako autora, z błędów *naukowych* przed właściwym sądem.

„Mownictwo polskie” z czterech składa sie części. Przedmiotem pierwszego jest gramatyka właściwa *ogólna*, w drugim – znajdujemy *szczegółowe* jej rozwinięcie; trzeci dział obejmuje *składnią*, czwarty—*pisownią*.

We wstępnych już określeniach („Wyobrażenia i pojęcia, myśli i zdania”), obok *niewyraźnego kiełkowania rozumnej metody*, która wszelką naukę od rzeczy znanych, czystozmysłowych, do nieznanych, — umysłowych prowadzić zaleca, znajdujemy dziwną niejasność i niezupełność wykładu, uwydatniającą się szczególniej w regule: 3-ej, 4-ej, 5-ej, 6-ej.— Do błędów pierwszej, ogólnej części zaliczyć jeszcze musimy powtórzone i w następnym dziale *ustanowienie trzech*, zamiast *dwu* wzorów przymiotnikowej deklinacyi, *wyłączenie* z modeł odmianowych pewnych organicznych form liczebnika (pięcią, dziesięcią i t. d.), *definicyją stopnia równego, jako stopnia porównania* (gdy ten rzeczywiście sam w sobie żadnego porównania nieoznacza), takie nakoniec niesmaczne, zbyteczne i *młody umysł ucznia nurzące odmiany*, jak: „Bogam, Bogaś, Boga, Bogaśmy, Bogaście, Boga (czcił, czcili)”, które licznemi przykładami sumienny pedagog starannie objaśnia.

W następnej części nienapotykamy już tego *konturowego* ładu, jakim jeszcze pomimo błędów, odznacza się pierwsza. — Etymologija, morfologija, fonetyka i grafika—plączą się na przemiany w szeregu wstępnych rozdziałów 1, 2, 3, 4. Z tą chromą cechą łączy się tu i owdzie niejednostajność, a niekiedy i niewłaściwość terminów. Setki zebranych przez szanownego pedagoga śród długiej praktyki spostrzeżeń, przedstawiają się na każdej karcie tego działu w dziwnie chaotycznym natłoku *różnozasadnych i bezzasadnych* prawideł i prawidełek, *wierszowanych* na stary sposób *wyjątków*, i takich epizodycznych artykułów („*Szczególne* użycie wstawnego *j*”, „Wpływ *szczególny* wstawnego *e*”. „*Niektóre* własności zaimków” etc.), które, jako *akcentujące* rzekomą w badanym przedmiocie nieprawidłowość, z wszelkiego naukowego dzieła, a przedewszystkim z książki elementarnej raz na zawsze wykluczonemi być winny.

Szczupłość miejsca niepozwala nam zastanawiać się nad wszystkiemi szczegółami; zaznaczamy tu więc jedynie dwa ważne ze stanowiska umiejętnej gramatyki błędy: dowolne, *połowiczne prawidło* o zakończeniu 4-go przyp. rz. żeń. (*ą* lub *ę*), i *formacyją czasów* niezręcznie na wzór łacińskich podręczników ułożoną.

Wolnemi od ważniejszych zarzutów, chociaż nowej metody i nowych spostrzeżeń nie wprowadzającemi działami są pozostałe:— trzeci, traktujący o *składni*, i czwarty—o *pisowni*. Za niepotrzebne tu tylko uważamy ciągłe, przy lada objaśniającym zdaniu cytaty nazwisk poetów i prozaików, które przerywając przykłady, niczego nie uczą.

Autor pobieżnie rozbieranej przez nas książki w pewnej tylko, skromnej mierze stoi na dzisiejszym stanowisku nauki; przeważnie unika on tak nazwanych *nowości*, a ogólnym nastrojem i układem dzieła, przypomina Teodozego Sierocińskiego.

Ważną zaletą „Mównictwa” jest staranny wybór przykładów i bogate onych „zastosowania.” Teoretyczne więc niedostatki wyjaśniają się i dopełniają tu i owdzie w praktycznych ćwiczeniach. *A. G. B.*

[1]) Wykład abecadła polskiego „przez Skrzypińskiego 1858 r.”

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu L. S. Z największą chęcią przystajemy na zamianę, jaką nam Pan proponujesz i prosimy zgłaszać się do nas w każdą środę po odbiór Opiekuna.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.